Nr. 11. Lwów, 1. czerwca 1903. Rok XXVI.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 l., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

SIÓDMY ZJAZD ŁOWIECKI.

Jak już w numerze 9-tym *„Łowca“* oznajmiliśmy, Zjazd tegoroczny odbędzie się dnia 1. lipca 1903.

Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa, zamknięcie rachunków i preliminarz, jak również porządek dzienny walnego zgromadzenia podamy, jeżeli to tylko będzie możliwe, w najbliższym numerze — jeżeli zaś okazałoby się to niemożliwem, w numerze następnym, którego wydanie o kilka dni przyspieszymy.

Mamy nadzieję, że zjazd tegoroczny będzie conajmniej tak liczny, jak zeszłoroczny — prosimy zatem gorąco Szanownych Członków Towarzystwa, o jak najliczniejsze przybycie.

Na posiedzeniu komitetu urządzającego strzelanie, które odbyło się d. 25. bm, uchwalono ostatecznie regulamin strzelania, nie różniący się w zasadniczych punktach niczem od regulaminu zeszłorocznego. Mamy nadzieję, że do strzelania naszego zgłoszą się także myśliwi powiatu borszczowskiego i dolińskiego, których zachęciły prawdopodobnie zjazdy powiatowe, a którzy mile będą i na głównym naszym zjeździe witani.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.

(Ciąg dalszy).

Zaczynamy od najznakomitszego — od człowieka, którego współpracownictwo było zaszczytem dla „*Łowca*“, i byłoby zaszczytem dla każdego, nawet światowego organu myśliwskiego, Mamy tu na myśli, jak szanowni czytelnicy zapewne sami już odgadnęli, hr. Kazimierza Wodzickiego. Swojemi pracami, tak głęboko pomyślanemi a takim barwnym piórem spisanemi, rozbudził on wśród świata łowieckiego taką ochotę do czytania rzeczy myśliwskich, że przeważnie temu niezrównanemu badaczowi przyrody i z Bożej łaski myśliwemu zawdzięczać należy miłość, jaką sobie „*Łowiec*“ zdobył. Przypominamy tym z naszych czytelników, którzy „*Łowca*“ od lat najdawniejszych znają, że jeżeli każdy numer z przyjemnością był widziany, to dzień w którym nadchodził numer mieszczący w swoich łamach pracę Wodzickiego, był świętem swojego rodzaju. Przez lat jedenaście wspierał znakomity pisarz wydawnictwo nasze radą i czynem, otaczał usiłowania ówczesnego Wydziału i redakcyi serdeczną życzliwością i opieką i zachęcał do poważnych badań życia zwierza łownego, jego ochrony i obywatelskiej czujności nad całym tym działem krajowego gospodarstwa. Był on niedoścignionym wzorem ziemianina i myśliwego.

Słowa, jakie o śp. Wodzickim napisał w kilka dni po jego zgonie hr. Wojciech Dzieduszycki, są najpiękniejszem wspomnieniem o jego życiu i działaniu i sądzimy, że czynimy słusznie, jeżeli słowa te przypomnimy tym, którzy je już raz czytali, a młodszej generacyi myśliwych damy sposobność zapoznać się z najlepiej nakreślonym wizerunkiem znakomitego pisarza i obywatela.

„Nieraz mi wpadało na myśl, pisze Dzieduszycki, że gdyby książę biskup warmiński, zmartwychwstawszy, szukał pośród dzisiejszego społeczeństwa naszego typu normalnego szlachcica polskiego, który byłby objął spadek po panu Podstolim, byłby zaszedł do Olejowa i byłby się zatrzymał przed śniadą i smukłą postacią o czarnej do niedawna brodzie, a przenikliwie żywym wzroku, suchą i pochyloną. W domu wykonywał w pełni królewskość ojcowską, wobec dzieci i sług z powagą, która się niektórym wydawała wyniosłością, ale z ojcowskiem wyrozumieniem potrzeb każdego domownika, któremu pomagał zawsze rozumnie, zdobywając sobie po jakimś czasie szczere przywiązanie i zupełne zaufanie każdego. Strzegł bacznie staropolskiego obyczaju i tak ducha jak litery wiary przodków. Włościan we wszystkich wsiach swoich znał osobiście, przyświecał im przykładem, wspierał radą i czynem. Przez długi szereg lat był prezesem Rady powiatowej w Złoczowie i był podobno jednym z najlepszych. Nie należał do tych. którzy odrazu serdecznością i jakąś siłą sympatyczną do siebie przyciągają, ale zmuszał do najgłębszego poważania wszystkich tych, którzy go spotykali.

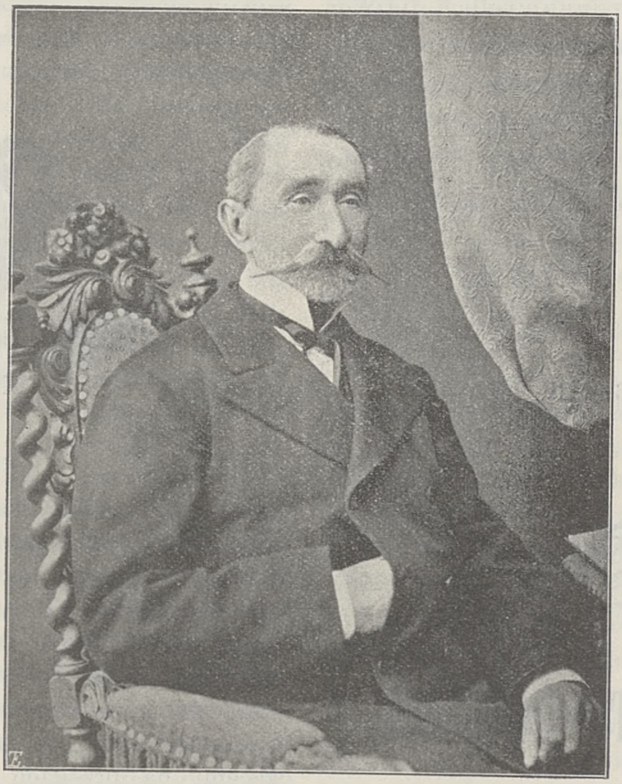
„Wjeżdżając z okolicznego stepu w Olejowszczyznę, wnet poznawał podróżny, iż wjeżdża w okolicę, w której ręka rozumu gospodarna i dobroczynna od wielu lat działa. Lepsze tu chaty, inne przy chatach sady, lud zamożniejszy, role staranniej uprawne, a dworskie gospodarstwo wszędzie takie, jakie w cywilizowanym świecie bywa. Słynna owczarnia, zawód poprawnych koni gospodarskich, wspaniała krowiarnia w Białogłowach, wszędzie budynki gospodarskie we wzorowym stanie, świadczyły o niezmordowanej pracy i niepospolitym rozumie administracyjnym.

„Ale człowiek nie samą tylko pracą około chleba powszedniego żyje, żyje także chwałą bożą, o której Wodzicki pamiętał nieustannie, żyje także rozrywką godziwą, bez której właśnie umysł zardzewieje, a serce stwardnieje. To też Wodzicki umiał hetmanić w szlachetnej zabawie, nie balom stołecznym, na których sadzą się tylko ludzie na to, jakby mogli jedni drugich upokorzyć widokiem niezdrowego zbytku, nie grze w karty bezmyślnej a gnuśnej, ilekroć nie bywa zgubną, ale owej rycerskiej zabawie, w której przodkowie nasi w czasie pokoju szukali orzeźwienia ciała i odświeżenia umysłu: myśliwstwu.

„Dniami całymi, tygodniami, przewodził w kniei młodym i starym, panom i kmieciom, obcując z matką przyrodą, odrywając od zniewieściałych zawiści życia dzisiejszego, ucząc, jak można się bawić na wsi i w domu, jak można wieczorem dwór wiejski ożywić po całodziennej zabawie ze zwierzem. Nie o tem wspomnę, wiele dzików, rysiów, niedźwiedzi zabił Wodzicki, bo o to mniejsza, o tem wspominam tylko, iż umiał ludzi gromadzić przy godziwej a dzielnej zabawie i o tem wspomnę, że to myśliwstwo było u niego myśliwstwem na prawdę, bo gdy chodził po lesie,

myśl jego biegała po pniach i konarach, po zrębach i parowach, odgadując tajniki życia, które się kryje w gąszczy. Nie na to tylko chodził Wodzicki po lesie, aby czas zabijać i strzelać celnie; przypatrywał się przyrodzie, badał ją, spowiadał. A potem ptak każdy, zwierz każdy, obyczajem swoim przypominał mu ludzi i wśród ciszy leśnej stawało przed jego okiem społeczeństwo całe i sądził je w spokoju, wsparty o strzelbę. W oczach miał przyrodę i cuda wielkie, które Bóg uczynił w przyrodzie, a w sercu miał zawsze Ojczyznę i cuda, które kiedyś Bóg w niej uczyni.

„A gdy powrócił do domu, gdy gości pożegnał, a znalazł chwilę przerwy pośród wielu zajęć olejowskich, szedł do pokoju swego i brał w rękę pióro, które przed dwomaset laty wypadło z rąk pana Jana Chryzostoma Paska. I pisał o tem co robił, co widział, co myślał, siedząc u siebie w Olejowie. Pisał, jak trzeba owce chować i prowadzić gospodarstwo z dobrym skutkiem, o tem, co się należy robić w sprawach powiatów i gmin naszych, o tem, jak to bociany sejmują, jak się rządzą i sądzą, co orły robią, kiedy szybują po błękitnem niebie, czemu to kukułka bywa zalotną i niewierną, jakto wróbel kocha do zbytku zapalczywie, a jak kruk kradnie mądrze i przebiegle niezbyt wiele dbając o obmowę swachny sroki, a z tego wypływały dalej uwagi o tem, jak ludzie postępują u nas w Polsce, jacy bywają mężowie, a jakie żony, jak się u nas bliźniemu zajrzy, gdy nieco nad poziom wyrośnie, jakie plotki, jakie swary, jakie skargi i jakie modły słychać po starej przodków naszych dziedzinie“.



Kazimierz hr. Wodzicki.

„Kazimierz Wodzicki, gdy pisał, nie pisał ani jako uczony, ani jako literat z zawodu. Pisał, bo miał coś powiedzieć nieco głośniej, tak, aby go słyszeli dalsi także, a nie ci tylko, którzy razem z nim w jednym przebywali pokoju, pisał skromnie, bez emfazy i efektacyi i przeto wielu u nas czytając, nie zdawało sobie sprawy z tego, jaką stałą i wielką wartość posiadały pisma Kazimierza. Czytelnika bawiło wielce to, co czytał, wzbudzało w nim myśl niejedną nową a zbawienną. Cieszyło poetycznym opisem przyrody, a naturalnie i potoczystym tokiem słów i myśli, i zdawało się czytelnikowi, iż rozmawia z panem Wodzickim i dlatego może niejeden nie zrozumiał, że to Wodzicki tak pięknie pisze.

„A już o tem zgoła mało kto u nas wiedział, iż Wodzicki jest znakomitym uczonym. Na to, aby się o tem dowiedzieć, trzeba zajrzeć do książki ornitologicznej, pisanej w obcym języku, i przekonać się, że najznakomitsi badacze Europy kapelusz zdejmowali z ruchem pełnym poważania, ilekroć im przyszło wspomnieć o spostrzeżeniach rolnika z Olejowa.

„Pierwszy pan Jan Chryzostom Pasek rozmawiał ze zwierzęty tak poufale, jakby z panami bracią, później, w naszym wieku, żyli u nas tu pod Karpatami dwaj uczeni, którzy zadziwili narody ościenne darem badania życia zwierzęcego. Myśmy nie umieli ich cenić jak się należało, nie zanosiliśmy ich do panteonu narodowego, nie dowierzaliśmy ich nauce, skoro nie była suchą, jak kompatura niemiecka, skoro nie była dyplomowaną i ubraną w biret i w togę, myśleliśmy, że ich zajęcia, to tylko godzina zabawki, a jednak było inaczej. Konstanty Pietruski, z mniejszym talentem pisarskim od Wodzickiego, potrafił odkryć tajniki życia zwierząt, o których sądzono, że ich chyba nikt nie zbada. Tak się spoufalił ze zwierzem leśnym, iż borsuk był wobec niego tak otwartym, jak wobec innego borsuka, a niedźwiedź tak szczerym jak wobec niedźwiedzia. Zaglądał do nor zwierząt drapieżnych i spędzał z nimi dnie i noce swoje; nie opisał kości i sierci zwierzęcej, bo to i Niemiec także potrafi, ale opisał zwierząt drapieżnych obyczaj domowy, a tego przed nim nie potrafił nikt. Podobnież Wodzicki latał wraz z ptactwem niebieskiem, radził wraz z nim, sejmował wraz z nim, przypatrywał się jak gniazda buduje, bywał ptaków i swatem i kumem, i zdobywał so-

bio w Europie w świecie uczonym powszechne uznanie, którego się u nas nikt prawie nie domyślał. Widzieliśmy o tem, że Wodzicki przyjemnie pisze o ptakach, wiedzieliśmy, że darował akademii w Krakowie bogate ornitologiczne zbiory, lecz nie wiedzieliśmy, że jego pisane gawędy, które tak naturalnie wypływały z zajęć wiejskiego gospodarza i zawołanego łowca, były pomnikami nauki głębokiej, a oryginalnej, nauki, której nowość i siła wynikały z naszego charakteru narodowego, raczej skłonnego badać psychologię, jak fizyologię zwierzęcą, a zakochanego we wsi i we wiejskim wczasie“.

Przez lat czterdzieści pracował Wodzicki na niwie pisarskiej. Najliczniejsze są jego prace ornitologiczne, wśród których najpiękniejsze są „Zapiski“. W „*Łowcu*“ umieścił Wodzicki wielką liczbę rozpraw, opowiadań i monografii a najważniejsze z nich były: „Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach“ (1879). „Wspomnienie z łowów na dziki„ (1886). „Szczególne wypadki z rogaczami“ (1881). „Spotkanie“ (1884). „Bywało i u nas wesoło“ (1884). „Pogadanka myśliwska“ (1885). „Noc zimowa w górskim lesie“ (1887). „O wilkach“ (1878). „Legawiec“ (1879). „Zając“ (1881). „Ruja sarn“ (1883). „Łasica pospolita (1887). „O rogaczu“ (1887). „Wskazówki moralnej organizacyi u zwierząt“ (1881).

C. d. n.

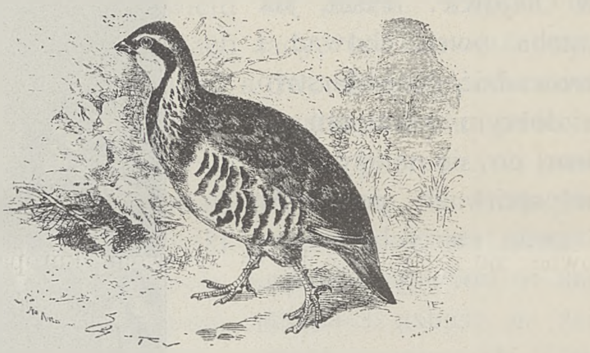
POGADANKI ORNITOLOGICZNE.

Napisał

Bronisław hr. Starzeński.

Ciąg dalszy.

W południowej Francyi, w Hiszpanii, w Portugalii, na Madeirze, Pityuzach, Balearach, i na wyspach Azorskich zastępuje szarą kuropatwę najbliższa jej krewna, zaliczona jednak do rodzaju *Caccabis*, a nie do Perdix, kuropatwa czerwona, *Caccabis rubra, das Rothhuhn*. Także i ona dała powód do dość licznych nieporozumień, podobnie jak kamionka, i dopiero niedawno przekonano się o właściwych granicach jej rozsiedlenia. Jedyna wzmianka o występowaniu tej kuropatwy w Polsce, znajduje się w „Przewodniku dla myśliwca“ przez L. S. (Lucyana Siemieńskiego, Gniezno i Leszno 1848 roku). Dziełko to, obecnie do białych kruków należące, ma wartość tylko bibliograficzną. Autor, który, jak się z dziełka zdaje, prawie nigdy poza polami i błotami Poznańskiego nie polował, a w naszych górach, to chyba ani razu nie był, pisze w swym „Przewodniku“: „Czerwone kuropatwy, u nas nadzwyczaj rzadkie, lubo je można spotykać, bardzo są trudne do strzelania, jak to sam doświadczałem, a to z powodu iż nielecą lotem horyzontalnym, lecz zaraz z miejsca wybijają się w górę. Przytem lot ich nadzwyczaj szparki, wiele sprawia szelestu. Napotykać je można w górach i w lasach, rzadko na płaszczyźnie“. Ciekawa rzecz, coby to mogło być?! A może... myśl truchleje na takie przypuszczenie, pióro z ręki wypada... może to autor zamienił... jarząbka z czerwoną kuropatwą!!!... Niebardzo trudno, (wiem to z doświadczenia), niewprawnemu te dwa ptaki pozamieniać, a szczególnie kurę jarząbka. W niektórych okolicach Niemiec jarząbek nosi popularną nazwę „das Rothhuhn,“ może to ta nazwa ostatecznie autora „Przewodnika“ zbałamuciła? W każdym razie, przekonano się już, że prowincye nadreńskie są najdalszą wschodnią granicą rozmieszczenia kuropatwy czerwonej. We Francyi południowej, gdzie od wieków ze szarą kuropatwą sąsiaduje, i w Anglii, gdzie to z końcem XVIII. wieku ze znakomitym rezultatem zaprowadzona została, mają zdarzać się mieszańce jej



ze szarą kuropatwą, lecz dotychczas ta kwestya nie została dostatecznie zbadana. Kuropatwa czerwona jest 38 cm. długa, siąg skrzydeł 52 cm., długość skrzydła złożonego ogona 11 cm. Płaszcz szaro-rudy, tył głowy i kark prawie czysto rudy, piersi i brzuch popielaty, z lekkim brązowym odcieniem, podbrzusze i podogonowe pokrywy ciemno-żółte, długie pióra boków na jasno-popielatem tle ciemno-kasztanowatemi, przechodzącemi na brzegach w czarne, pręgami upstrzone, biała pręga ciągnie się przez brwi i czoło ku karkowi, czysto białe podgardle otoczone jest czarną smugą, ciągnącą się aż do piersi. Oko jasno-piwne, obrączka naokoło oka czerwona, podobnie jak u gołębi, dzióbek krwisto-czerwony, nóżki jasno-karminowe. Mniejsza samiczka nie ma ostrogi. Znosi jaj 12—16, większych jak szarej kuropatwy, okrąglejszych i tępszych na końcach. Gruba stosunkowo skorupa jest błyszcząca, tło rdzawożółte dość jasne licznymi brązowymi punkcikami i plamami znaczone, Młode pośrodkujące barwą między młodemi kamionki właściwej, a szarej kuropatwy, zaczynają latać już w parę dni po wylęgnięciu, wogóle daleko prędzej wykształcają się niż szare kuropatwy. Lot kuropatwy czerwonej szybszy, i daleko mniej szelestu sprawiający niż naszej kuropatwy, a nie tak, jak to p. L. S. podaje. Obyczaje jej podobne do naszej kuropatwy, tylko prawie zawsze kilka familii łączy się w jedno stado, a w niebezpieczeństwie siada ona na drzewach i jak jarząbek stara

się ukryć, przytulając się do gałęzi. Czasem stada, nocując na ziemi stawiają wartę na drzewach, ale ta nie bardzo sumiennie obowiązki swe spełnia i zwykle pierwsza pada ofiarą nocnych rabusiów. Głos czerwonej kuropatwy podobny do głosu naszej, tylko bardziej syczący i nie tak ostro skrzeczący. W lutym stada już rozdzielają się na pary, co dało w Hiszpanii powód do myśliwskiego przysłowia: „Al di à di San Anton, cada perdiz con su perdicon“, to znaczy: W dzień św. Antoniego, chodzi kuropatwa już ze swoim kokotem. We Francyi i w Anglii gnieżdżą się naturalnie później. Kokoty, ubiegające się o łapkę uwielbionej, staczają zacięte walki, a gdy kura siedzi już na jajach, to porzucają ją, i szukają nowych awanturek romantycznych. Hiszpanie wykorzystują to w ten sposób, że trzymają oswojone kokoty i kurki i w czasie walk lęgowych stawiają klatkę z kokotem tam, gdzie się kuropatw spodziewają, a sami ukrywają się ze strzelbą w pobliżu. Dobry „reclamo“, (za którego, nawiasem dodając, płacą po paręset franków), zaczyna zaraz wabić, wszystkie kokoty, które głos niewidzialnego rywala usłyszą, zlatują się do niego i dają sposobność polującemu do łatwego strzału, tembardziej, że na huk wcale prawie nie zważają. Jeżeli czatujący nieostrożnie spłoszy kohoty i te nieufne nie chcą iść na wabika, to wtedy klatka z kurką zostaje wystawiona, a kokoty lecą, jak ćmy do światła, nie zważając na obecność człowieka. W ten sposób można wyniszczyć wszystkie kokoty w całej okolicy, przez co kury osamotnione wynoszą się, albo idąc na wabika także giną. Jestto najgorsze barbarzyństwo, ale cóż to kłusownika obchodzi! W stosownej porze poluje się na czerwone kuropatwy podobnie jak na nasze. Dosiadują one rozmaicie, czasem wcale nie, a czasem tak twardo, że można wszystkie łatwo rękami pozbierać. Przebywają w górzystych okolicach, szczególnie lubią kamieniste równinki między górami, poprzerastane laskami i krzaczkami, najchętniej zamieszkują okolice, których nasza kuropatwa unika, chociaż znajdują się i po urodzajnych równinach, razem ze szarą. W Anglii, w północnej Francyi, w Belgii i Holandyi zaprowadzono ją oddawna, we wschodnich hrabstwach Anglii jest ona nawet liczniejsza, niż pierwotna mieszkanka, nasza kuropatwa. W Niemczech próby zaaklimatyzowania jej dotychczas nie były robione w tej mierze, żeby można wywnioskować, o prawdopodobieństwie dodatniego rezultatu zaprowadzenia jej u nas. W każdym razie zasługuje ona na żywsze zainteresowanie się nią, niż dotychczas. Myślę, że najlepiejby było sprowadzić ją z północnej Anglii, bo już się tam do zimniejszego klimatu, do urodzajniejszej i lepiej zagospodarowanej ziemi i do równin przyzwyczaiła, a wiadomo, że przy zaprowadzeniu jakiegokolwiek gatunku w obcych mu okolicach tylko najzdrowsze i najsilniejsze indywidua utrudnioną walkę o byt wytrzymują i jako takie, silne i zdrowe potomstwo wydają. Sprowadzając więc kuropatwy czerwone, jako materyał zarodowy, a względnie później w celu odświeżenia krwi, z Anglii, dostalibyśmy daleko lepszy i dla nas odpowiedniejszy materyał, niż z pierwotnej ojczyzny, to jest z Hiszpanii lub południowej Francyi. D. n.

Na toku koguta.

(Wrażenia z trzech dni, spędzonych w Karpatach).

Dokończenie.

Opowiadał mi potem, że nie słysząc przez dłuższy czas strzału, zaczął wabić, (a umie to, jako były kłusownik, po mistrzowsku robić), – na to nadleciały trzy kury i kogut, ale tak blisko, że on ruszyć się nie mógł z obawy, by ich nie spłoszyć i mnie o tem nie mógł zawiadomić, a podczas gdy ja się podkradałem do tamtego głuszca, ten najspokojniej kilka kroków przed nim, po drugiej stronie pnia na śniegu tokował, — o czem zresztą sam po śladach na śniegu miałem sposobność zaraz się przekonać.

Ale i tak byłem bardzo zadowolony pomyślnym, uzyskanym już wynikiem, i zaraz puściłem się w drogę z powrotem do Tartarowa, by się trochę przespać i ułożyć plan polowania na dzień następny.

O godzinie dziesiątej przed południem, byłem już z powrotem w kwaterze, a zaspokoiwszy żołądek, który gwałtownie dopominał się o swoje prawa, znalazłem się za chwilę z prawdziwą rozkoszą pod kołdrą — by się przespać aż do obiadu.

Przebudziwszy się, zobaczyłem, że na dworze zaczął padać gęsty śnieg, a niebo zupełnie zasnute chmurami, zapowiadało niepogodę na kilka najbliższych dni.

Wobec tego nie pozostawało mi nic innego, jak zmienić pierwotnie ułożony plan, i przenocować na wierchu w kolibie, gdyż wspinanie się na tę bardzo stromą górę przed wschodem słońca po ciemku, gdyby śnieg ziemię przysypał przez noc grubą warstwą, było co najmniej bardzo uciążliwem, jeśli nie zupełnie niewykonalnem.

Przenocować na górze można było tylko na kolibie która wystawioną była na gruncie, na którym dzierżawi polowanie książę Lichtenstein, a w oddaleniu pół godziny drogi od tokowiska na mojem terytoryum. Udałem się tedy bezwłocznie do łowczego księcia, p. Wintera, z prośbą o pozwolenie przenocowania w kolibie, którego mi z całą gotowością udzielił, za co mu na tem miejscu jeszcze raz serdecznie dziękuję. (Wspomniał mi przytem, że na obszarze dóbr kameralnych 180.000 morgowym, zabito już tego roku 5 rysiów, 9 wilków i kilka niedźwiedzi, i że ten rok szczególnie obfituje w niedźwiedzie w Karpatach).

Spakowawszy dwa koce, kosz z wiktuałami i małą poduszeczkę, w które mię poczciwa pani B. zaopatrzyła, objuczyłem tem Jurę i po dwóch godzinach marszu stanąłem przed kolibą, a hucuł zrzuciwszy z siebie pakunki, poszedł zaraz w las z siekierą, by narąbać drew na ogień, który mieliśmy palić całą noc, gdyż pod wieczór, jak to mówią, „brał“ tęgi mróz i śnieżyca się na dobre puściła.

Po pewnym czasie wrócił Jura, ciągnąc za sobą po śniegu dwie duże sosny, które rozkawałkowawszy przed kolibą na polana około dwumetrowe, powciągał do wnętrza, ułożył poziomo jedne na drugich, z jednego



końca podpalił *) i roztworzywszy koszyk, wziął się do przyrządzenia herbaty.

Podczas gdy ogień wesoło pryskał a hucuł mój opowiadał mi różne baśnie i podania o dyabłach i czarownicach, na dworze wył wicher i padały duże płaty śniegu, a termometr zawieszony na pobliskiem drzewie pokazywał 6 stopni poniżej zera.

Małą miałem nadzieję, by się polowanie udało, ale wszystko jak mówi Jura jest „w Bozi ruci“.

Zawinąwszy się w koc, ułożyłem się na posłaniu z gałązek sosnowych, a za kwadrans już śniła mi się zwierzyna wszelkiego rodzaju, aż kres tym marzeniom położył Jura, budząc mię nad ranem i napominając, „że już czas“.

Wylazłszy z pod koca, zarzuciłem dryling na ramię i wyszedłem przed kolibę.

Śnieg zupełnie przestał padać i wiatr ustał, tylko zimno było; obawiałem się, czy dla tej ostatniej przyczyny głuszce dnia tego wogóle będą tokować.

Tokowisko, na które szedłem było położone nie na samym wierzchołku góry, lecz cokolwiek niżej na południowym stoku i spodziewałem się, że skoro tylko zaświeci i powietrze się cokolwiek ogrzeje, głuszce będą tokować na śniegu.

Brnąc w śniegu po kolana, a czasami i po pas przewróciwszy się kilka razy po drodze, przy przechodzeniu przez obmarznięte kamienie, stanąłem na kraju polanki w czasie, gdy niebo na wschodzie było mocno zaróżowione i tarcza słoneczna lada chwila miała się już ukazać.

Na polance przed którą stałem, można się było podkraść do głuszca bardzo łatwo, gdyż w różnych miejscach leżały powywracane z korzeniami sosny i wielkie głazy, które za każdym krokiem dawały wyborne ukrycie, jedyną przeszkodą w podkradaniu się stanowił zmarzły śnieg, który pod nogami głośno skrzypiał. Byle tylko głuszec był, pomyślałem sobie, jakoś to już będzie.

W tem jakby w urzeczywistnieniu tych myśli, odzywa się na pobliskich drzewach „wabienie“, następnie łomot skrzydeł i przedemną na jakich sto kroków siada na śniegu kogut.

Stało się to tak nagle, że ledwie czas miałem wskoczyć za sosnę.

Nie zwlekając długo, zaczął głuszec tokować, a ja podbiegając w podobny sposób jak dnia poprzedniego, zbliżyłem się na odległość trzydziestu kroków, wyczekując tylko stosownej chwili, by się do niego złożyć.

W tym momencie, gdy dryling przykładałem do ramienia, zwrócił na siebie moją uwagę drugi głuszec, tokujący na dużym płaskim kamieniu na drugim końcu polanki. Wstrzymałem się ze strzałem, a będąc w dobrem ukryciu i wiedząc, że głuszec, do którego się podkradłem mnie widzieć nie może, a tokować tak prędko nie przestanie, przyłożyłem lornetę do oczu, by się lepiej przypatrzeć temu drugiemu „goturowi“.

Głuszec ten drugi był nierównie większy od pierwszego i upierzenie miał ładniejsze i jak mogłem osądzić, bardzo stary, gdyż pióra na roztoczonym wachlarzu miały na końcach duże białe plamki. Jednem słowem, był to egzemplarz prześliczny i gorącem mojem pragnieniem było, mieć go na plecach w „rucksacku“.

Odległość odemnie do niego wynosiła w każdym razie ponad sto kroków (jak się później przekonałem było 136), mając jednak dryling o lufie kulowej na płaszczowe 8 mm. kule, bardzo centrownie bijący, postanowiłem szczęścia spróbować.

Przestawiwszy zasuwkę na warkoczu na kulę, przyklęknąłem koło sosny i wbiwszy koniec dużego noża myśliwskiego w pień sosny, oparłem na ostrzu noża lufę i w chwili, gdy muszka znajdowała się na środku głuszca, trąciłem cyngiel, poprzednio już na „szneller“ nastawiony.

Na odgłos strzału zerwał się pierwszy głuszec z ogromnym strachem, nie miał jednak czasu daleko odlecieć, gdyż niezwlekając strzeliłem do niego śrótem z lewej lufy i spadł zaraz na krzak tarniny, koło którego tokował.

Natychmiast pobiegłem na miejsce pierwszego strzału, gdyż o ile mi się zdawało, głuszca tego nie chybiłem. I rzeczywiście znalazłem go leżącego za kamieniem, kula jednak bardzo go uszkodziła, przeszywszy całego na ukos, przyczem zgruchotała udo zupełnie, następnie przeszła przez wnętrzności a dostawszy się do kręgosłupa szyjowego przerwała go, tak, że cała szyja z głową wisiała tylko na płacie piersiowej skóry. Żdziwił mię tak straszny skutek strzału; zaglądnąwszy jednak do łoża drylinga, gdzie miałem kilka kulowych nabojów, przekonałem się, że strzeliłem tego biedaka przez pomyłkę expanzywną kulą. Cały ptak był do tego stopnia uszkodzony, że o wypchaniu mowy już być nie mogło, zdołałem zaledwie uratować głowę z piórami piersiowemi i pióra wachlarza, które obecnie pięknie zmontowane, zdobią od kilku dni pokój myśliwski p. K.

Drugi głuszec, którego śrótem strzeliłem, był dość mały, nieszczególniej upierzony i bardzo chudy; wi-

*) Sposób takiego niecenia ognia jest bardzo praktyczny; używa się do tego polan o kilkumetrowej długości, z korą, które zapalone z jednego końca, palą się przez całą noc bez poprawiania, podczas gdy ogień posuwa się powoli do przeciwległego końca.

docznie dała mu się dobrze we znaki miniona, ostra zima.

W ogonie brakowało mu kilka najładniejszych piór.

Na brak szczęścia nie mogłem się chyba uskarżać, więc z wielkiem zadowoleniem pakuję głuszce do rucksacka, rucksack zaś Jurze na plecy i wracamy do koliby.

Po krótkiej naradzie z Jurą, postanowiłem i dzisiejszą noc przepędzić w kolibie, gdyż droga do Tartarowa przez strome pagórki tam i napowrót była bardzo uciążliwa, szczególniej po nocy.

Jura oświadcza, że nie jest wcale zmęczony i zszedłszy z góry, pojedzie następnie na swojej „szkapi“ do Tartarowa po wiktuały, pakuje porozrzucane przybory herbaciane napowrót do kosza, ja tymczasem adresuję wyciągnięte z torby widokówki „donoszące całemu światu o zlanym na mnie zdroju łask Dyany“, a za kilka minut migają mi już tylko pomiędzy krzakami pąsowe okoliczności hucuła.

Około południa wrócił z pełnym koszem, które pełna uprzejmości p. B. starannie wyekwipowała i mając w tem osobisty interes wziął się zaraz do wypakowywania przyniesionych wiktuałów, powtarzając co chwila, że pani B. „to je duże fajna pani“.

Po spożyciu zagrzanego przy ogniu obiadu, położyliśmy się obaj spać, a zbudziwszy się około trzeciej godziny, poszliśmy obaj do zwyczajnych tokowisk, by podpatrzeć, czy nie zapadną tam jakie koguty, które o świcie w tem miejscu będą chciały tokować. Łaziłem blisko trzy godziny, ale nic nie widziałem, oprócz świeżego tropu dwóch dzików i zmęczony wróciłem do koliby.

Zastałem tam już Jurę, zajętego rozpalaniem ognia i ten opowiedział mi, że na tokowisku położonem na samym końcu mego rewiru, spłoszył dwa głuszce siedzące na ziemi, które następnie usiadły na bliskich smerekach i prawdopodobnie będą tam nazajutrz tokować.

W ciągu dnia po południu temperatura znacznie się ociepliła, a teraz pod wieczór zaczyna padać deszcz ze śniegiem.

Nie mam wielkiej nadziei na dzień jutrzejszy, pomimo pomyślnej relacyi Jury. Siadłem jeszcze na chwilę przy ogniu, ale zmęczenie przemaga, zawijam się w koc, kładę pod głowę złożone futerko i — spię jak zabity.

Przed świtem zbudził mię hucuł i idziemy obaj na miejsce, gdzie dnia poprzedniego widział głuszce.

Deszcz podczas nocy przestał padać i nad ranem śnieg przymarzł; niebo jednak zachmurzone, w miejscu tylko, gdzie firnament wolny od chmur, świeci księżyc w całej pełni.

Przychodzę nareszcie do polanki; na śniegu dużo wczorajszych śladów głuszców i stanąwszy w ukryciu, czekam, czy jaki kogut nie zacznie wabić. Mija kwadrans, pół godziny, godzina, ja ciągle nieruchomo stoję, aż mi nogi ścierpły, a żaden głuszec się nie odzywa.

Nareszcie zaczęło wschodzić słońce i naraz zaczął zrywać się wiatr, który dął z każdą chwilą silniej.

Gdy słońce zupełnie już zeszło, siła wiatru doszła do tego stopnia, że łamał gałęzie i wprost trudno było na wierchu utrzymać się na nogach.

Głuszce, które są bardzo wrażliwe na mającą nastąpić zmianę pogody, odczuły dzień naprzód tę burzę i to ostudziło ich zapał miłosny na ten dzień.

Podczas gdy wiatr sypie mi za kołnierz i w twarz śnieg, który zdmuchuje z drzew, wracam zły sam na siebie, że nadaremnie na zimnie nocowałem na górze, najkrótszą drogą do koliby.

Już niedaleko samej koliby, poderwał mi z pod nogi siedzący na śniegu kogut.

Zerwałem z ramienia dryling, odciągam kurek i strzelam; posypało się z głuszcza kilka piór, ale on sam poleciał dalej i dopiero, gdy odleciał na jakie trzysta kroków, widzę, że lot jego staje się niepewnym, nareszcie przewraca się w powietrzu i młynkując, spada na ziemię.

Biegnę, jak tylko mogę najprędzej do tego miejsca, ale pomimo najskrupulatniejszego szukania przez godzinę przeszło, nie mogłem go znaleść i wróciłem z próżnemi rękoma do Tartarowa.

Dopiero w kilka dni później po powrocie do domu znalazł go strażnik, nawpół już zjedzonego przez lisy i pióra mi odesłał, z których kazałem damie mojego serca zrobić wachlarz.

Wróciwszy w południe do Tartarowa, wyczyściłem strzelbę i spakowawszy rzeczy, byłem już o 2-ej po południu na dworcu kolejowym, żegnany jak najserdeczniej przez całą familię Jury, a o dziesiątej wieczorem już u siebie w domu we Lwowie.

* * *

Taka jest epopeja mojej tegorocznej wyprawy na głuszca.

Kiedy przypomnę sobie na pamięć wszystkie jej szczegóły, przychodzę do przekonania, że wycieczka taka sowicie wynagradza niewygody i trudy, jakie dla niej przychodzi ponosić. Nic to, że trzeba przerywać sobie smaczny sen, wychodzić w mroźną noc, spędzać ją w kolibie, odbywać męczące marsze po górach i wertepach, rozbijając sobie nos na kamieniach i pniach i narażając się na mimowolną, nieco zbyt orzeźwiającą może kąpiel w Prucie, bo urok takiej wyprawy i napiętego oczekiwania przy świetle księżyca, pośród romantycznej górskiej okolicy, a w końcu zdobycie nagrody swych trudów wynagradzają prawdziwemu nemrodowi wszystkie niewygody i niewczasy.

Spodziewam się, że przez opis ten nie nadużyłem cierpliwości szanownych czytelników, a gdyby mimo wszystkiego mieli się między nimi znaleść tacy, którzyby mię mogli posądzić o „koloryzowanie“, to służę im dowodem z końcem miesiąca, kiedy p. Hartl przyśle mi wypchane „trofeum“ opisanej wyprawy. Niech niewierni Tomaszowie dotkną wtedy palcem dziur, poczynionych przez kulę i śrót, a które im sam wskażę, dając temsamem świadectwo, żem świadom swego dzieła.

W końcu obiecuję sobie niejednego z powyższych Tomaszów zaprosić na przyszły rok do Tartarowa, skoro tylko mi Jura doniesie, że „goturi wże dobre kłapajut“.

Albrecht Hillbricht.

Z obcych światów.

Polowanie na przepiórki w Australii.

Już od wczesnego dziecięctwa — zapełniałem swą głowę najdziwaczniejszemi wyobrażeniami o tej, najmłodszej części świata. Mimo żywego zainteresowania, które budziła we mnie ta odrębną część świata stanowiąca wyspa, miałem tylko bardzo ograniczone pojęcie tak o ziemi samej, jakoteż o jej mieszkańcach. Moja młodociana siła wyobraźni była zawsze tylko jednem zajęta — owym potworem, który ma w wielkiej ilości przebywać w Australii t. j. olbrzymim kangurem.

Wyobrażałem sobie zawsze to dziwaczne stworzenie, tego wielkiego szczura o dużej torbie, w postaci siedzącej na ogonie — wyrywającego z ogromną siłą kawały z ciała swego nieprzyjaciela i pożerającego je.

Później przeobraziły się te niedojrzałe wyobrażenia na znacznie łagodniejsze, a gdy poznałem potwora bliżej, w czasie swej podróży naokoło świata, ustaliły się one — wprost jako przeciwieństwo tych pierwotnych wyobrażeń.

Omal, że nie rozczarowani wstępujemy na ziemię australską, która dla swego oddalenia od naszej ojczyzny wydaje się jak „terra incognita“ i gdzie spodziewamy się zastać jakieś nadzwyczajne zjawiska.

Lecz człowiek podróżuje szybko i przenosi szybko swe radości i troski, wady, zalety, urządzenia — wraz ze sobą — nawet w najodleglejszy zakątek ziemi. Wstępujący na ziemię australską myśliwy, spotka się tu ze wszystkiemi ograniczeniami, które tworzenie się państw nieodzownie ze sobą przynosi.

Kto zatem mniema, że może swobodnie w Australii strzelać i wszystko — z wyjątkiem ludzkich istot i owiec — ubijać, ten dozna cierpkiego rozczarowania.

Począwszy od brzegów nieprzerwanie aż do wnętrza — ma każdy płat ziemi swego właściciela, który nie ścierpi obcego najścia.

Natomiast przyjmuje bardzo chętnie odwiedziny gościa, który go odwiedza w tym celu, by go poprosić o zezwolenie na zwiedzenie jego zwykle rozległych posiadłości, ze strzelbą w ręku, w celach łowieckich. Jeżeli postąpimy w ten sposób, doznamy najżyczliwszego przyjęcia, jakie obcego ze strony Australczyka spotkać może. Południowo-zachodni kąt tego lądu zamieszkują farmerzy, którzy, o ile ich poznałem trudnią się łowiectwem tylko z konieczności, a zresztą w bardzo rzadkich wypadkach. Natomiast są tam więcej zapalonymi rybołowcami, co się łatwo tłómaczy bogactwem ryb w tej części ziemi.

Żyłkę ich łowiecką stanowią tylko królik i przepiórka.

Pierwszy importowany pierwotnie z Europy, rozszerzył się w Australii tak, że stanowi jej plagę. Na rynkach miejskich sprzedają króliki tysiącami i dziś stanowią one główny artykuł żywności dla ludności miejskiej. Łowią je za pomocą łapek i bez nich członkowie zawodowych stowarzyszeń, których wynajmują w tym celu farmerzy. Inaczej ma się rzecz z przepiórką. Pobudza ona farmerów i ich otoczenie do radosnej ruchliwości, a skoro tylko obwieszczono rozpoczęcie polowania, przetwarza się — kto żyje — w pasyonowanego myśliwca.

Pierwszego maja każdego roku rozpoczyna się sezon łowów i wszyscy przygotowują broń i sposobią amunicyę, by zapolować na masowo występującego kuraka.

Ale i przytem okazały się ujemne skutki, płynące z tej, wrodzonej ludności namiętności.

Przedtem zaludniała przepiórka, ogromnemi masami, wszystkie odpowiednie dla siebie miejsca w australskich niżach, dziś można ją zauważyć we wielkiej liczbie, tylko w pewnych, ulubionych miejscach; a i w tych już się nie pojawia w takich gromadach, jakie obserwowali dawniejsi osiedleńcy.

Przebywające w Australii przepiórki dzielą się na dwa rodzaje.

Jedna, znacznie większa i ciemniejszej barwy zwie się przepiórką brunatną, dla odróżnienia od drugiej przepiórki siwej, o bardzo jasnem upierzeniu, natomiast o ciemnem mięsie.

Smakosze oddają pierwszeństwo brunatnej.

Przepiórka brunatna żyje w gromadach — jak nasza kuropatwa, biega wybornie a zrywa się z trudnością.

Siwa przepiórka porywa się pojedynczo, lecz przedtem cieknie tak długo, jak może na nogach. Poderwawszy się leci daleko. Obie latają o wiele lepiej, niż nasza europejska przepiórka. Młode przepiórczęta latają tak szybko, jak nasze kuropatwy w listopadzie.

Gospodarz mój, któremu zawdzięczam te skąpe, przyrodnicze wiadomości o przepiórkach zaprosił mię zaraz następnego dnia po mem przybyciu do farmy na polowanie na przepiórki i zawiózł mię osobliwym, australskim wehikułem do rewiru, odległego około mili od farmy.

Jechaliśmy wybornym gościńcem najpierw pod górę — naprzeciw grzbietu górskiego, któremu drzewa pieprzowe i gumowe nadawały dziwną postać a z którego roztaczał się wspaniały widok na całe płaskowzgórze. Gościniec był obsadzony dobrze utrzymanymi drzewami, z czego poznać było można, że ręka ludzka dba tutaj o tak ważne środki komunikacyjne.

W drodze dął wiatr ostry i zimny, a im wyżej jechaliśmy, tem więcej stawała się rosa podobna do szronu; na niektórych bagnach zaczęła się już tworzyć słaba, lodowa powłoka. Wkrótce zwróciły na się uwagę naszą lasy — te szczególne lasy, które całej tej krainie nadają dziwną cechę. W nich przemieszkuje nasz daniel, który w Australii znalazł nową ojczyznę a którą sobie bardzo chwali. Gdyby odarte zupełnie z kory — wskutek chciwości ludzkiej — gumowe drzewa, nie mąciły obrazu, to mógłby mniemać myśliwy, że za każdym krzakiem w tych lasach, ma legowisko jakiś zwierz, lasy te bowiem zdają się stworzone na schronisko zwierzyny.

Gdyśmy przybyli na stok wzgórza — ujrzeliśmy miły krajobraz. Na rozległej płaszczyźnie leżały wokoło, porozrzucane farmy, otoczone stogami i budynkami gospodarskimi, przytykając do wybornie uprawianych pól i gruntów.

Zaiste — widząc to zadajemy sobie pytanie, czy już nie ma miejsc na ziemi, do których by człowiek nie dotarł ze swoją dolą i niedolą.

Tu chciwość ludzka występuje jeszcze jaskrawiej niż u nas; liczne bowiem płoty druciane odgraniczają nawzajem sąsiednie grunta.

Wstąpiliśmy do najbliższej farmy, leżącej na naszej drodze i wkrótce zasiedliśmy pod werandą, której nie braknie żadnej farmie w Australii.

Przed filiżanką herbaty, kołysałem się w dużem krześle, spoglądałem w ciemno-lazurowe niebo i zupełnie dałem się opanować wrażeniu, które wywiera nowa okolica świata i rozkoszne, upajające i jak szampan działające powietrze..

Tymczasem nadszedł zawiadowca farmy, w angielskim kostyumie bez zarzutu, z psem z rasy pointerów i zaraz ruszyliśmy.

Pierwsze pole — na któreśmy wyszli, było ścierniskiem o wielkiej rozległości, przeorane w pewnych odstępach głębokiemi brózdami. Ściernie, pozostałe po kosiarce, sięgały nie wysoko ponad ziemię, lecz były tak gęste, że nastręczały nęcącą kryjówkę przepiórkom, tembardziej, że w niektórych miejscach rosły gęste chwasty.

Przeszukaliśmy to pole w jednej linii i wkrótce, przystanął nieco gorący z początku pies, na chwilę przywarował i zaczął czołgać się w tej pozycyi naprzód.

Tuż za nim szedł jego pan, który strzelbę trzymał w pogotowiu. I rzeczywiście na jakich 60—70 kroków przed psem, zerwało się stadko przepiórek, które mój gospodarz pozdrowił dubletą, nie wyrządziwszy ptactwu żadnego uszczerbku.

Spostrzeżenie tu ochłódziło znacznie mój zapał łowiecki; bo jeżeli tu wszystkie przepiórki tak źle wytrzymują i zrywają się na taką odległość przed psem, to chyba skutek nie obiecujący. I z początku było tak w rzeczy samej. Przeszukaliśmy już połowę pola i natknęliśmy się na dwa stadka przepiórek, zrywały się atoli one tak daleko przed nami, że tylko przypadkowi można było skuteczny strzał zawdzięczyć.

Mój towarzysz jednak, znając kaprysy tych kuraków — nie zraził się tem bynajmniej i po przeszukaniu całego pola — zawrócił flegmatycznie.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie wyrazić zdumienia wobec całego tego postępowania i nie wykazać bezpożyteczności ponownego przeszukiwania tego samego pola.

Lecz gospodarz mój objaśnił mię, że przepiórki zerwawszy się — zapadają już po krótkim locie na najbliższem polu użyczającem im schronienia.

Zawróciliśmy tedy, by to samo pole powtórnie przebuszować, i wnet przekonałem się o słuszności zapatrywań mego gospodarza.

Towarzyszący nam pies ściągał ustawicznie i chodził jeszcze ostrożniej niż pierwej, wzdłuż i w poprzek.

„Obecnie siedzą przepiórki twardo", zawołał mój gospodarz i rzeczywiście zerwały się przedemną dwie przepiórki na strzał. Pełen radości, ubiłem bliższą. Zaraz potem zerwało się stadko z sześciu przepiórek, z których dwie padło ofiarą mej strzelby. Od tej chwili zrywały się wszędzie liczne przepiórki, bądź pojedynczo, bądź po kilka. Zdziwiony bardzo tem niezwykłem zjawiskiem, zapytałem, skąd się to bierze, że przy pierwszem przeszukiwaniu ścierniska natknęliśmy się tylko na dwa stadka przepiórek, podczas gdy obecnie, przy ponownem przeszukiwaniu zrywają się przepiórki, prawie co chwila i to każda na strzał?

Na wyjaśnienie nie czekałem długo. Skoro mianowicie przepiórki spostrzegą, że niepokoją ich teren, ciekną nisko pochylone wzdłuż brózdy, usiłując biegiem opuścić niebezpieczne pole, lecz już po kilku minutach wracają, aby twardo usiąść i by, w razie niebezpiecznego zaniepokojenia, w locie szukać ocalenia.

Wskutek tego musieliśmy każde pole przeszukać dwa razy a w każdem z nich zrobiliśmy to samo spostrzeżenie.

Jeżeli pojedyncze przepiórki zerwały się — to czyniły to z taką chyżością i na taką odległość, że trzeba by posiadać wyborną broń i nadzwyczaj pewną rękę, by można dać skuteczny strzał. Tylko na ugorach, które chaszczami, bodiakami były poprzerastane, zrywały się przed psem i wzlatywały na odległość, dopuszczającą strzał, jakkolwiek leciały tak zwinnie wśród chwastów, że przeszkadzały one strzałowi.

Spostrzeżenia te pouczyły mię, że przepiórki i tutaj doznają mnogiego prześladowania; inaczej bowiem w obec braku drapieżników, których tutaj bardzo nieznaczna ilość — niemożna by sobie wytłómaczyć ostrożności i płochliwości tych ptaków.

Po krótkiem wytchnieniu, w południe, chciał mi uprzejmy gospodarz zaprodukować drugi, używany tutaj sposób polowania na przepiórki i ustawił mnie na rogu pola, gęstymi chaszczami pokrytego, które zamierzał przeszukać przy pomocy psa i nagonki.

Ten rodzaj polowania był o tyle korzystniejszy, że o wiele więcej przepiórek zrywało się na strzał, niż przy poprzedniem przeszukiwaniu, lecz więcej robiło się pudeł.

Wszystkie bowiem przepiórki, zrywające się przed psem, lub naganiaczem przeciągały zaledwie tuż nad chaszczami, metrowej wysokości, i natychmiast zapadały na ziemię, by w biegu zniknąć z błyskawiczną chyżością. Gdy przy tej taktyce nieraz spudłowałem, spróbowałem innego manewru. Oto wkroczyłem w linię przeciągającego w ten sposób stadka przepiórek i zmusiłem je do rozbicia. To jednak nie przeszkodziło im krążyć w około mnie na odległość ramienia, lub też podzielić się na dwa stadka i raptownie zapaść. Przy locie, w ten sposób wykonanym — nie dziw, że wiele śrótów przeszło pomiędzy ptakami, z czego widać, że strzał do bekasa jest o wiele łatwiejszy, niż do australskiej przepiórki.

Tem większej atoli doznajemy uciechy, gdy którego z tych latawców ubijemy. Wzięliśmy potem jeszcze kilka miotów i zmarnowaliśmy dużo prochu, nim doszliśmy do rozkładu z 42 siwych i 8 brunatnych przepiórek. Rozkład ten zdobiły również dwa króliki, które wielkością i maścią przypominają naszego szaraka.

Trzygodzinna kołowa jazda do urządzonej z komfortem siedziby właściciela polowania, gdzieśmy użyli wszystkiego, czego użycza cywilizacya — nastręczyła mi sposobność poznania bliżej kraju i ludzi, tej tak interesującej części świata.

Następnego dnia pożegnałem mego gospodarza, który mi przyrzekł odwiedzić mnie przy najbliższej swej podróży do Europy i wziąć udział w polowaniu w górach, na które go zaprosiłem.

Korespondencye.

Kurypów, 25. kwietnia 1903.

Wścieklizna u lisów.

Jak to już poprzednio donosiłem, zauważyłem tu w lutym b. r. kilka lisów, zachowujących się w sposób tak niezwykły, że chyba musiało się co do nich nabrać przekonania, iż były dotknięte wścieklizną.

W dalszym ciągu donoszę niniejszem, iż w marcu b. r., o południowej porze dnia, wpadł lis w pościgu za psem gajowego w Siedliskach (ad państwo Błudniki) do sieni chałupy, gdzie go też gajowy pałką ubił.

W marcu b. r. znaleziono w lesie dworskim dwa lisy nieżywe, bez żadnych znaków z postrzału.

W marcu b. r. w Błudnikach, wpadł lis na obejście włościanina wśród wsi w dzień i pokąsał psa. Lisa tego weterynarz wezwany ze Stanisławowa, odesłał do Akademii weterynarskiej we Lwowie, a właśnie nadeszły okólnik do przełożeństwa obszarów dworskich ze Starostwa w Stanisławowie, zarządzający środki weterynaryjno-policyjne, powołuje się na orzeczenie Akademii z dnia 2. kwietnia b. r. l. 44/128, stwierdzające wściekliznę u lisa tego.

Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że wszystkie te lisy były nawiedzone tą chorobą.

W kwietniu b. r. żołnierz ze Stanisławowa, idący w nocy na święta do Błudnik, w drodze z Halicza do Błudnik, nad rzeką Łomnicą, został napadnięty przez dwa lisy, którym, jak twierdzi, z trudnością pałaszem obronić się zdołał.

W bieżącym tygodniu znaleziono znów w rewirze tutejszym, (Państwo Dorohów), padłego lisa, a jestto z poprzednimi, trzeci już z rzędu znaleziony.

O dalszych wypadkach z lisami doniosę znów, o ile o nich się dowiem, żałować jednak wypada, że tylko z trudnością i przeważnie przypadkowo się o nich dowiedzieć mogę, naturalnie, o ile takowe poza obrębem mego rewiru występują.

Doszły mnie niedokładne wiadomości, że i w powiecie Brzeżańskim również zdarzyły się niezwykłe wypadki z lisami.

Dziwi mnie nadzwyczajnie, że w sprawie tak aktualnej, tak niezwykłej i dla myślistwa ważnej, tak obojętnie się zachowują myśliwi i tak mało jest w tym kierunku korespondencyi do *„Łowca“*, widać bowiem, że cała wschodnia Galicya jest dotknięta tą epidemią u lisów, a przecież tylko z niektórych miejscowości bardzo nielicznych, o tem *„Łowcowi“* donoszą.

Modest Douillet.

Lwów, 16. maja 1903.

Zamilkły i przeciągnęły już słonki, ustały gorące zapasy rozkochanych kogutów, a więc skończony rok myśliwski i czas przesłać do *Łowca*“ doroczne sprawozdanie „Towarzystwa myśliwskiego bełzkiego“ za czas od 1. października 1902 do chwili obecnej, gdyż z pierwszym października` sezon zaczynamy. Polowania gremialne odbyliśmy wcześniej niż lat poprzednich, bo jesienne 9., 10. i 11. października, a zimowe 16. 17. i 18. grudnia 1902. Na ciągu do słonek strzelał tylko leśniczy, w toku wiosennym brało udział sześciu Towarzyszy, z tych dwaj tylko przesiedzieli w budkach po kilka ranków, reszta tylko po jednym lub parę dni. Słonek, padło na ciągu dziewięć, pierwsze widziane 22. marca, najlepszy ciąg był 2. kwietnia, po 6. kwietnia ustał prawie zupełnie.

Kogutów na toku padło jedenaście, z tych cztery zabite kulami, a jeden z towarzyszy miał to ciekawe zdarzenie, że jednym strzałem kulą, zabił dwa koguty.

Wczesny termin jesiennego polowania, przyniósł nam wspaniałą niespodziankę, w formie niebywałego dotąd w Bełzie nalotu słonek. Trafiliśmy na nie dopiero drugiego dnia w wysokich dębinach podszytych leszczyną. Na rozkładzie znalazło się 27 słonek, a więc ilość w tym roku, nigdzie w kraju nie osiągnięta, ale proszę szanownych czytelników *„Łowca“*, aby nie pytali podpisanego sekretarza o stosunek i ilość strzałów. Na usprawiedliwienie niezliczonych pudeł, mógłbym dużo powiedzieć, bo najpierw wszyscy strzelaliśmy z trzylufków, naboje z cienkim śrótem, po paru miotach się skończyły, a wreszcie choć linie szerokie, to jednak las wysoki i gęsto podszyty, więc słonki, jak rakiety przelatywały nad głową i nie zawsze był czas poprawić z drugiej lufy... pudłem.

W tych warunkach czworonożna zwierzyna wyszła obronną ręką, dostały tylko lisy zasłużone cięgi, bo padło ich szesnaście w jesieni. Dziki i sarny wskutek gęstych strzałów wracały na nagonkę, a zresztą, kto o nich wtedy myślał, gdy krzyk „tire-haut“ w nagonce nie ustawał.

Zdarzyło się przytem i tak, a zdarzyło podpisanemu, że złożył się do stojącego przed nim w gąszczu dzika i naturalnie nie widział ciągnącej mu równocześnie wprost na kapelusz słonki. Zgniewany tem sąsiad począł wołać „tire-haut“, a w rezultacie dzik się obraził, że traktują go jak ptaszka i znikł w gąszczu, aby się więcej nie pokazać, a słonka poleciała szczęśliwie bez strzału.

Zimowe polowanie dało bardzo dobry rezultat w zającach, padło ich 128 sztuk. W najlepszym naszym miocie, „trzynastce“, padło 80 strzałów, a na rozkładzie z tego jednego miotu, był dzik, rogacz, 6 lisów i 34 zajęcy.

Poniżej podaję zestawienie ubitej zwierzyny z ostatniego sezonu i dla porównania rezultat z roku poprzedniego:

W roku 1901/1902 ubito: dzików 8, rogaczy 21, lisów 24, zajęcy 73, cietrzewi 11, słonek 12, jarząbka 1, różnych 3, razem 153.

W roku 1902/1903 ubito: dzików 3, rogaczy 13, lisów 24, zajęcy 163, cietrzewi 12, słonek 36, różnych 3, razem 254.

Nie chciałbym nudzić czytelników *„Łowca“* zestawianiem cyfr ubitej zwierzyny w ciągu całego czasu istnienia Towarzystwa bełzkiego, odwołując się jednak do sprawozdań z lat poprzednich, skonstatować muszę, że od dziesięciu lat, cyfra ubitej zwierzyny co roku wzrasta i ani razu nie była mniejsza, jak w roku poprzedzającym.

Mimoto przyrost w zwierzostanie, zwłaszcza w sarnach jest słaby i nie odpowiada staranności, z jaką zwierzynę Towarzystwo hoduje. Niestety dzierżawione przez nas lasy, tworzą w ogromnym kompleksie tylko oazę wśród prawdziwej pod względem kultury łowieckiej pustyni, to też wszystko, co minie kopce graniczne lasów bełzkich, ginie bez miłosierdzia, lub wraca postrzelone i chore.

Towarzystwo nasze przechodzi obecnie przełomowe chwile. Wkrótce bowiem ekspirują nasze kontrakty dzierżawne, a jak wieść niesie powołanych i niepowołanych amatorów na nasze polowanie jest bez liku.

Mamy jednak nadzieję, że uda nam się ochronić strzeżone pilnie przez lat siedemnaście zwierzostany, od nowych groźnych myśliwych i w roku przyszłym przesłać do *„Łowca"* sprawozdanie z polowań Towarzystwa w sezonie 1903/1904, odbytych w miłych nam lasach bełzkich na podstawie nowych kontraków dzierżawnych.

Dr. Władysław Sołowij.

Kurypów, 19. maja 1003.

Wścieklizna u lisów i borsuków.

Przesyłam szanownej redakcyi trzecią z rzędu relacyę o dostrzeżonych wypadkach wścieklizny u lisów, które obecnie przeniosło się już i na borsuki.

Mniej więcej trzy tygodnie temu robotnika zajętego w lesie skarbowym Kołodziejów, napadł lis wśród dnia i tak uporczywie rzucał się na robotnika i wyrostka syna tegoż, iż robotnik dopiero po długiej chwili zdołał pochwyconą gałęzią lisa tego ubić.

Dnia 17. b. m. znalazł jeden z gajowych w lesie tutejszym należącym do Państwa Dorohów zdechłego lisa, bez śladów postrzału. Lis ten leżąc trzymał w zaciśniętych zębach kawał grubej gałęzi.

Dnia 17. b. m. we wsi Siedliska należącej do Państwa Błudniki, w biały dzień i śród wsi pokąsał chłopaka borsuk. Borsuka tego chłopi zabili, chłopaka odesłano do Krakowa, zaś głowę tego borsuka do Lwowa dla próbnych szczepień.

O ile mnie słuchy dochodzą, sprawdzić jednak nie zdołałem, w tym samym dniu i we wsi Medynia borsuk jakiś rzucał się śród wsi i białego dnia na ludzi.

Czy jednak ten borsuk został ubity tego nie wiem.

W razie wiadomości o dalszych wypadkach rozszerzającej się wścieklizny nie omieszkam znów donieść.

Modest Douillet

ZAPROSZENIE.

Towarzystwo strzeleckie oficerskie we Lwowie zaprosiło pismem z d. 23. maja br. członków Towarzystwa łowieckiego do współudziału w strzelaniach do celu, które odbędą się 29. maja, 12. i 26. czerwca, 10. i 24. lipca i 7. września 1903 na tutejszej strzelnicy wojskowej. Strzelanie premiowe odbędzie się dnia 17. września br., jeżeli przedtem żaden z korpusów wojskowych nie odejdzie na koncentracyę. Strzelać będzie się na 200 kroków do figur N. 4 z 3-ma kołami, na 300 kroków do tarczy z kołami, figur i tarczy szkolnych — na 400 kroków do tarczy wojskowych. Przy tych strzelaniach używać można broni wojskowej, karabinów i sztućców. Dla broni myśliwskiej przeznaczone są ruchome tarcze, przedstawiające biegnącego zająca, kule szklane itp. Na 50 kroków oddalenia odbędzie się strzelanie z rewolwerów i pistoletów do tarczy N. 5 o trzech kołach. Odbędzie się także strzelanie z flobertów dla pań i starszych dzieci. Przewodniczy strzelaniu Prezes stowarzyszenia, generał Karol von Lang, zastępcą przewodniczącego jest pułkownik Hugon Donner von Blitzbergen.

Sprawy Towarzystwa

Posiedzenie komitetu urządzającego zjazd łowiecki z d. 25. maja 1903. Obecni: Prezes hr. Juliusz Bielski, wiceprezes hr. Stanisław Mycielski, członkowie pp. Klusik-Orzechowski, Krogulski, Miziewicz, Nostadt i Pieńczykowski. Ułożono ostatecznie regulamin strzelania, który ma być ogłoszony o ile możności w numerze z d. 15. czerwca 1903. Sprawę nagród w postaci medalów po wysłuchaniu sprawozdania p. Miziewicza, odłożono do roku przyszłego. Wobec oświadczenia hr. Zdzisława Tarnowskiego, że w pracach komitetu udziału brać nie może, uchwalono zaprosić do komitetu p. Teofila Żurowskiego. Premie Towarzystwa i komitetu mają na prośbę komitetu wybrać i zakupić pp. Klusik-Orzechowski, Krogulski i Hamerski. Na tem zakończono.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Firma Rudolf Krimmer, Lwów, hotel Francuski otrzymała nowe modele butów nieprzemakalnych do polowań błotnych i do gospodarki wiejskiej i zaprasza niniejszem PP. Interesowanych do łaskawego oglądnięcia takowych.

KALENDARZYK BANKOWY wysyłamy bezpłatnie. Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.

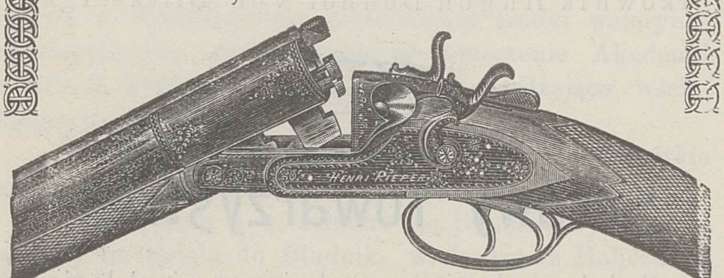
Kupię wyżła anglo-czeskiej rasy, dobrze ułożonego na kuropatwy i zające (hasenrein), 3-cie pole, oraz jamnika ostro pracującego w norach. Oferty przyjmuje Wimmer, łowczy w Osięcku, stacya Pilawa Nadwiślańska, Król. Polskie.

DUBELTÓWKĘ (Lancaster), kal. 16, wyrobu Molnara, lufy Bernarda, bijącą ostro, centralnie i daleko, dobrze utrzymaną sprzedam W. O., Lwów ul. Wiśniowieckich l. 5 I. p. od g. 4 do 6 pop. Pośrednictwo wykluczone.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

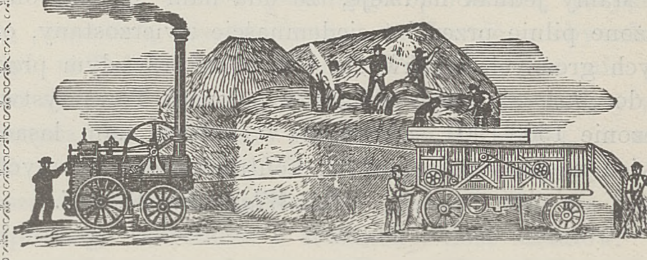
jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.



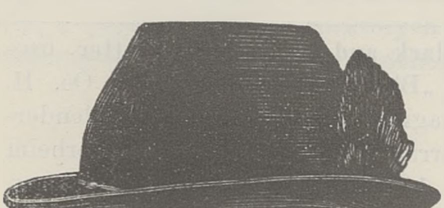
Lwów ulica Grodecka l. 22.

Clayton & Shuttleworth Limited

polecają swe, ogólnie uznane jako najdoskonalsze wyroby **maszyn i narzędzi rolniczych**, a mianowicie: **Lokomobile i młocarnie parowe**, które jako pierwszorzędne i wzorowe opanowały targi świata (przeszło 70.000 lokomobil i młocarń sporządzono i sprzedano), **przewozowe i stałe kieraty i młocarnie kieratowe, młynki, trieury, pługi uniwersalne stalowe, brony, walce, siewniki Columbia** (jedyne maszyny siejące regularnie na każdym terenie) **siewniki szerokorzutne, plewniki Planet jr. światowej sławy, kosiarki, żniwiarki** z aparatem do wiązania lub bez niego, **grabiarki, sieczkarnie, śrotowniki, pompy i sikawki** i t. d. i t. d. i zapraszają do zwiedzania swego składu maszyn.

W warstacie reparacyjnym, pędzonym parą, zaopatrzonym w najnowsze maszyny pomocnicze uskuteczniają wszelkie naprawy dokładnie i tanio.

Illustrowane cenniki darmo i opłatnie.



KAPELUSZE, FILCOWE, LODENOWE I SŁOMKOWE. CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU. SZTYLPY, MESZTY I KALOSZE PETERSBURGSKIE.



POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.